ROK TRZECI.

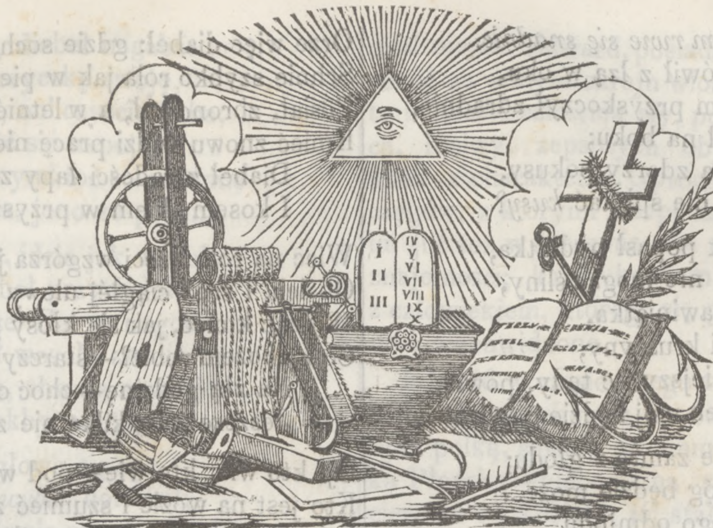
№ 17.

Warszawa

Dnia 18 (25) kwietnia 1858.

Niedziela

3cia po Wielkiéj Nocy.



REDAKCYA CZYTELNI przy ulicy Chmielnej Nr. 1527.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45. miesięcznie k. sr. 15.
Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.” (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Boże, który błądzącym, iżby na drogę sprawiedliwości mogli powrócić, wskazujesz światłość Twéj prawdy, udziel wszystkim, którzy się z chrześciańskiego wyznania szczycą, potężnéj łaski, aby się brzydzili tém, co temu Imieniowi jest przeciwnem, a starannie dopełniali tego, co z świętością jego jest zgodném. (Kollekta na Niedzielę trzecią po Wielkiej Nocy).

O Diable Wódkorobie

I UBOGIM KMIOTKU.

Przed lat tysiącem, gdy w naszéj ziemi
Każdy się tylko kmieciem nazywał,
I każdy jeno wołkami swemi
Poczciwie rolę swą podorywał,
Kraj nasz tak bujne z pól zbierał plony,
Że i zamorskie wykarmiał strony.

Diabli, co dawno, het za morzami
W cieplejszych krajach złe już broili,
Słysząc o szczęściu między kmiotkami,
Do granic naszych w lot się rzucili,
Lecz tam żelazne krzyże strażnicze
Strzaskały rogi ich najezdnicze.

—Oj, kusa rada, znać, Bóg z kmieciami;
Lecz przecież i nas kiedyś poznają...
Więc ztąd ni zowąd w radę z kupcami,
W lśniące *dukaty* się przedzierzgają,
A potem strojni w frak, kapelusze,
Już ostrzą zęby na polskie dusze.

Żył wtedy jeden ubogi chłopek,
Bieda, aż płakać, na tuzin dzieci
Ledwo zżął w polu żyta półkopek,
A choć wciąż chata dziurami świeci,
I choć duch ronił nad dzieciskami,
Bieda świszczała wiecznie dziurami...

Oj! nieraz, nieraz brakło i chleba,
Jednak nie padał w krwawym mozole,
Jeno gorąco wzdychał do nieba.
Raz poszedł orać zwyczajnie w pole,
Ostatni chleba kęs zabrał z sobą,
I orze, orze biedną chudobą.

Kiedy już słonko pół dnia wskazało,
Przystanął smutny z wołkami swemi,
Po ciężkiéj pracy jeść się zachciało,
Toż siadł na worku z trawą na ziemi,
Wziął zawiniątko, westchnął do nieba,
Bo ma ostatni spożyć kęs chleba.

Smutnie podumał: późniéj spożyję,
Na dłużéj potem sytym zostanę,
Wody się tylko z strugi napiję,
Resztką obdzielę dzieci kochane,
A teraz jeszcze poorzę trochę,
Więc wstał i znowu jął się za sochę.

Ale, *gdzie krótko, tam rwie się snadnie.*
Gdy tak do siebie mówił z łzą w oku,
Diablik jak z wiatrem przyskoczył zdradnie,
I niewidzialnie stanął na boku;
A gdzie się pora zdarzy pokusy,
Jakże ma figla nie spłatać *kusy*?

Pod wieczór kmiotek popasł bydlątka,
A z głodu przełknąć nie mogąc śliny,
Idzie na miedzę do zawiniątka,
Rozwija... chleba ani kruszyny,
—Musiał głodniejszy iść tędy, powie,
Niechże mu chleb mój będzie na zdrowie.

Toć jeszcze dzisiaj nie zamrę z głodu;
Jutro łaskawszym Bóg będzie może...
Jam-ta zwyczajny tego odmłodu.
Ot! jeszcze trochę sobie poorzę,
Potem pokrzepię się pacierzami
I pójdę do dom z memi wołkami.

Coś niezwyczajnie, diabeł pod nosem
Mruknął: jam ukradł, on zdrowiem płaci,
Pokręcił głową, spojrzał ukosem,
—Może zanadtom... ej! pal go kaci.
To rzekł, przez ziemię śmignął się potem
Lucyperowi zdać sprawę o tem.

—Źleś zrobił, ten mu ryknie z łańcuchów,
Za nasze sprawki przyjdzie rozpłata;
Na złych, bezbożnych, pysznych, leniuchów
Czyhać, rzecz nasza wiecznie śród świata,
Lecz brać ostatni biednym kęs chleba,
Na to i piekłu wzdrygnąć się trzeba!

Wszakże i diabeł ma swe sumienie...
Precz więc na ziemię z piekła co prędzéj!
Weź człeka ciało, chłopskie odzienie,
Wproś się do kmiotka, i bez pieniędzy
Jako parobek służ przez trzy lata,
Aż się nie wzmoże nędzarza chata.

I zrobił diabeł jak mu kazano,
W jednym dniu mierzwą potrząsnął pola,
Zorał i posiał nazajutrz rano,
I wnet się ślicznie zieleni rola;
Każdy się sąsiad z wiosną dziwuje,
Że jak las bujne zboże kłosuje.

W lecie niezmierne plony zebrali,
Sąsiek nabity, chleba po uszy,
Część zostawili, część wyprzedali;
A potem diabeł w obawie suszy
Radzi kmieciowi, by na rok drugi
Uprawił błota i mokre smugi.

Orze więc diabeł: gdzie sochą ruszy,
Schnie szybko rola jak w piecu ziarno,
Posiał, zbronował, a w letniéj suszy
Kmieć znowu widzi pracę niemarną;
Diabeł z radości łapy zaciera,
I kosem okiem w przyszłość spoziera.

Więc na rok trzeci wzgórza jałowe
Obsieli, i śród ciągłéj ulewy
Widząc kmieć, jak się kłosy gną płowe,
Co z zbożem robić?—starczy na siewy,
Na złą godzinę—choć część się przeda,
Jeszcze z lat kilka nie zajrzy bieda.

Oj! kto wie, kto wie—pod wozem bywa,
Kto jest na wozie i szumieć zacznie,
I na stan biednych oczy zakrywa,
A nasz kmieć zaczął tak żyć niebacznie;
Choć sam Pan Jezus żyjąc na świecie,
Tak kochał biednych. Lecz kończmy przecie.

—Teraz już kwita, rzekł diabeł w sobie:
Z lichwą spłacony okrajec chleba;
Tu się pazurkiem po głowie skrobie,
Lecz, czyż bez figla rozstać się trzeba?
Przyjaźń przyjaźnią, jam diabeł przecie,
Niechże pamiątkę zrobię na świecie.

Hej! gospodarzu, do późnych czasów
Wystarczy chleba ludziom i tobie,
Lecz reszta maż tak zmarnieć zapasów?
Słuchaj: ja wielką korzyść z nich zrobię,
Mam pomysł ważny, może się uda;
Czasem z niczego robią się cuda.

—Cóż to za pomysł? kmiotek zapyta.
—Pomysł nielada... ot jak z jęczmienia
Warzymy piwo, spróbujmy z żyta
Coś podobnego robić z niechcenia.
Warzyć, przewarzać, mieszać będziemy,
Może coś przecie i wywarzymy.

Kmiotek powolnym stał się téj radzie,
Diabeł do dzieła rączo pospiesza:
Porobił kotły, wanny i kadzie,
Zaciera żyto, warzy i miesza,
Próbuje często, to chmielu doda,
Ot! i ma napój czysty jak woda.

Lecz tak gorzkawy jakoś i pałki,
Że diabeł rozwarł szeroko oczy,
I zdumion dał mu imie *gorzałki*;
Przelewa w beczki, do flaszy toczy,
Nalał w kieliszek, przypił, próbują,
Lecz obaj w gardle jakiś żar czują.

Kmiotek się zdraga, diabeł nagaba:
—Toć ma i piwo goryczkę swoję,
I pieprz ma pałkość, no! czyście baba,
By od ostrego trząść się napoju?
Jeszcze po jednym! toć to nie inne
Żyto jak w polu, jeno że płynne.

Więc piją... Prawda, idzie jak woda!
—I już nie pali, diabeł przychwalił:
—Machnijmy jeszcze! Ha! to i zgoda,
Kmieć pięścią o stół wesoło zwalił.
I znów probują, chwalą nawzajem,
I znowu piją jakby na najem.

Wesołość wzrasta, głowa ciężeje,
Diabeł *klin klinem wybić* doradził;
Więc znów się w głowie przeróżnie dzieje:
Kmieć się już z diabłem godził i wadził,
Potem się chwyta oburącz ściany,
Bo zda się chata poszła z nim w tany.

Ale *Wódkoröb* śmiał się szalenie:
—Ha! mnie się zdaje, że znów się krztuszę,
Pijąc rodzinne swoje płomienie,
I że już w kleszczach szarpię twą duszę!
Więc do widzenia, głupi człowiecze!
Wódka was więcéj do nas przywlecze!

—

Bajkać to bracia, lecz w baśni ludu
Można dopatrzyć prawdy bez trudu:
Żądza dukatów, najpierwsza plaga,
Wytrwałość w cnocie, najlepsze mienie,
Samemu hulać, gdy ludzkość naga,
Jestto podłości szerzyć płomienie;
Sztuka jest nie paść pod nieszczęść chłostą,
Lecz większa, w szczęściu iść drogą prostą;
Kmieć, że nad nędzą nie miał opieki,
Za to się zbytkiem zdradził na wieki.

Powrót więźnia.

(Opowiadanie proboszcza).

—

Dwadzieścia pięć lat dochodzi, jak objąłem probostwo w jednéj wiosce pod Płockiem.—Do parafii téj należy przyległa ludna kolonia, zamieszkała wyłącznie prawie przez osadników niemieckich, wyznań mieszanych, już to reformowanego, już też katolickiego; otoż ludność katolicka téj osady pod moją zostawała pieczą. Najgorszą opinię zpomiędzy owych kolonistów, miał niejaki Edward, posiadający dość obszerną osadę na samym skraju wioski pod lasem, I był to w istocie człowiek zły, ponury, twardego serca, leniwy, zepsutych obyczajów, okrutny i dziki z charakteru. Oprócz podejrzanych włóczęgów, z którymi przepędzał czas, już to w polu, już téż w karczmie, nie miał żadnych innych znajomości; każdy bowiem unikał stosunków z człowiekiem, którego się powszechnie obawiano i nienawidzono.

Edward w czasie mego tam przybycia, miał żonę i syna, chłopca lat dwunastu. Żona jego była polką, sierotą po rzemieślniku z miasteczka Płońska—niepodobna sobie dość wyobrazić cierpień téj kobiety, jéj stałości w ich znoszeniu i troskliwości, z jaką wychowywała swego jedynaka. Niech mi Bóg przebaczy moje przypuszczenie niebardzo chrześciańskie, ale wszystko każe mi wierzyć, iż Edward przez lat wiele rozmyślał o tem jedynie, jakby dokuczyć i zranić najboleśniéj serce swéj żony; wszystko to znosiła ona z anielską cierpliwością przez wzgląd na syna, a nawet rzecz dziwna i przez wzgląd na ojca, gdyż pomimo jego grubiaństwa i złego z nią się obchodzenia, kochała go, a pamięć, czem był dla niéj, obudzała w jéj sercu uczucia pobłażania i wyrozumiałości.

Byli oni bardzo ubodzy, gdyż złe życie męża wiodło za sobą nędzę; wytrwała jedynie praca żony opatrywała najkonieczniejsze potrzeby. Poświęcenie to jéj wszakże źle było wynagrodzonem—ludzie przechodzący około ich mieszkania o późnéj porze, słyszeli częstokroć zadawane razy, płacz i jęki niewieście; nieraz wśród nocy biedny chłopiec kołatał do drzwi sąsiedzkiéj chaty, chroniąc się przed zapamiętałością niedobrego ojca.

Jedyną pociechą i ucieczką biednéj téj kobiety była modlitwa; uczęszczała też regularnie do naszego kościoła w towarzystwie małego Jasia. Byli oni odziani ubogo, ale zawsze czysto i schludnie, i każdy witał ich przyjaźnie i z współczuciem. Nieraz, gdy po skończonem nabożeństwie zatrzymała się dla pomówienia z którą z sąsiadek w alei prowadzącéj do kościoła, lub gdy spoglądała z dumą macierzyńską na kwitnące zdrowiem jagody swego syna, smętna jéj twarz rozjaśniała się uczuciem żywéj dla Stwórcy wdzięczności, i wtedy zdawała się być jeżeli nie zupełnie szczęśliwą i wesołą, to przynajmniéj spokojną i zadowoloną.

Tak pięć czy sześć lat upłynęło—chłopiec stał się młodzianem. Czas, który wzmocnił wątłą budowę dziecka i rozwinął siłę jego członków, pochylił ciało matki i osłabił jéj kroki. Ale oko, które ją miało rozweselać, nie zwracało się więcéj ku niéj, ramie, które miało ją wspierać, nie znajdowało się przy niéj. Zajmowała ona ławkę swoję w kościele jak dawniéj, ale miejsce obok niéj zostawało próżnem, łzy obfite zraszały nabożną książkę, z któréj się modliła, bo nie było tego, co się z nią wspólnie modlił. Sąsiadki równie były dla niéj uprzejme jak dawniej, ale ona odwracała głowę, kiedy ją pozdrawiały, i nie zatrzymywała się więcéj w owéj alei do kościoła prowadzącej, bo dawne marzenia szczęścia uleciały. Biedna, opuszczona, naciskała chustkę na oczy, unikając wzroku ludzi i spieszyła zamknąć się w domu ze swą boleścią i łzami.

Potrzebujęż wam mówić, iż syn jéj związał się z ludźmi przewrotnymi i występnymi—sądzę, iżeście to sami odgadli... Spoglądając w swą przeszłość, w lata swego dzieciństwa, które mu wierna przedstawiała pamięć, widział on w niéj tylko długi szereg dobrowolnych ofiar ponoszonych dla niego przez matkę, prześladowań za niego wycierpianych; a mimo to jednak nie bacząc na boleść, jaką zada téj przywiązanej matce, na wdzięczność, jaką jéj był winien, puścił się na drogę występku, która zawieść go miała do zguby i hańby.

Miara nieszczęść biednej Edwardowej dopełniła się. Liczne bezprawia popełnione w okolicy obudziły czujność władz; zuchwała kradzież połączona z rozbojem wprowadziła na ślad winowajców. Młody Jan silnie poszlakowany o udział w téj zbrodni, został wraz z trzema towarzyszami uwięziony, przekonany i osądzony na 15 lat robór ciężkich w kopalniach.

W chwili odczytania wyroku potępiającego, sala sądowa zabrzmiała krzykiem kobiety dzikim, rozdzierającym, który brzmi dotąd w moich uszach. Krzyk ten przejął grozą skazanego, którego ani sąd, ani potępienie nie zdołały wzruszyć. Zaciśnięte wargi jego zadrżały mimowolnie, twarz pobladła i okryła się zimnym potem; zachwiał się cały.

W pierwszem uniesieniu rozpaczy nieszczęśliwa matka padła na kolana przy nogach syna, i wołała ze łkaniem do Boga, który jej dotąd udzielał sił w jéj boleści, o zabranie ją z tego padołu cierpień. Poczem wpadła w paroxyzm takiej boleści, o jakiéj nie miałem pojęcia; sądziłem, że serce w niéj pęknie. Odtąd nie słyszałem, z ust jéj ani żalu, ani skargi żadnéj.

Jakże bolesnym był widok téj kobiety, kiedy wpuszczona do celi więziennéj, siłą macierzyńskiego przywiązania i tkliwości, usiłowała zmiękczyć zatwardziałe serce syna i zwrócić go ku Wszechmocnemu—ale napróżno.. pozostawał on nieporuszonym.

Wszakże siła ducha, potęga cierpliwości i poddania się, utrzymująca dotąd nieszczęśliwą matkę, uległa wreszcie słabości ciała; choroba ją zmogła i powaliła na łoże boleści. Raz jeszcze zwlokła się z niego dla zobaczenia syna, ale sił jéj zabrakło i padła zemdlona w dziedzińcu więziennym.

Wypadek ten drobny na pozór, oddziałał zbawiennie na serce młodego przestępcy—jego oziębłość i obojętność znikły. Boleść, jakiéj się poddał, dochodziła prawie do obłąkania—nazajutrz matka się nie pojawiła, tak minął dzień, drugi, potem trzeci; a za 24 godzin miał się z nią rozstać, może na zawsze... Kiedy niespokojny przemierzał szybkim krokiem szczupłą celkę więzienną, wtedy wrażenia pierwszej młodości, o których zapomniał, obległy umysł jego; z jakąż trwogą dowiedział się, że matka jego była chorą, umierającą może, o milę od jego więzienia!... Gdyby był wolny i nie obciążony więzami, wkrótce byłby przy niéj... Rzucił się ku drzwiom, chwycił za kraty okna, z siłą rozpaczy chcąc je wyłamać, uderzał w ściany więzienne, jakby je chciał przebić, ale silna budowa żartowała z niedołężnych jego wysileń—w niemej rozpaczy załamał ręce i płakał jak dziecko.

Poniosłem uwięzionemu przebaczenie i błogosławieństwo matki, odnosząc w zamian chooréj uroczyste zapewnienie szczerego żalu i poprawy. Słuchałem z współczuciem skruszonego syna, tworzącego tysiące planów przyszłego szczęścia swéj matki za swym powrotem; wiedziałem wszakże dobrze, że o wiele wprzódy, nim dojdzie na Syberyą, miejsce wycierpienia kary, matka jego świat ten pożegna.

Wyszedł on nazajutrz, a w kilka tygodni potem, dusza biednéj kobiety uleciała do lepszego świata. Zwłoki jéj, którym oddałem ostatnią chrześciańską posługę, spoczęły na na-

szym małym cmentarzu. Niema kamienia na jéj grobie; troski jéj i cierpienia znane były od ludzi, cnoty zaś od Boga.

Przed wyjściem skazanego umówiliśmy się, iż napisze do swéj matki, jak tylko otrzyma na to pozwolenie, pod moim adresem. Edward od chwili uwięzienia syna, nie chciał go ani widzieć, ani o nim słyszeć, i była dlań zupełnie obojętną jego śmierć lub życie. Minęło lat kilka bez żadnéj o Janie wiadómości, a kiedy upłynęła połowa czasu jego kary, bez otrzymania odeń listu, wniosłem ztąd, że umarł i pragnąłem prawie tego.

Tymczasem Jan stanąwszy na miejscu przeznaczonem, wysłany został w odległą stronę do robót; z początku niewolno mu było pisać, późniéj odległość tak wielka i brak środków komunikacyi były przyczyną, iż z kilku jego listów żaden rąk moich nie doszedł. Tak przeszło lat 15. Z upływem naznaczonego wyrokiem terminu, wierny pierwotnéj swéj myśli i słowu danemu matce, pieszo wśród tysiąca przeszkód i trudności dobił się do rodzinnego kraju.

Byłoto w miesiącu sierpniu, w dzień Najświętszéj Panny Anielskiéj... strudzony podróżny dochodził wieczorem do wioski, droga, którą się udał, prowadziła przez cmentarz. Serce jego zadrżało bolesném przeczuciem, kiedy wstępował w obręb tego mieszkania umarłych — zachodzące słońce rzucało przez gałęzie świerków i wierzb płaczących, gdzieniegdzie jasne promienie na ocienioną ścieszkę. Widok tych drzew przywiódł mu na myśl wypadki jego dzieciństwa— przypomniał sobie, jak uczepiony ręku matki, szedł z nią do pobliskiego kościołka, spojrzenia, jakie rzucał na jéj twarz bladą, łzy napełniające jéj oczy, kiedy spoglądała na niego, lub spadające gorącemi kroplami na jego czoło, kiedy go przyciskała do swéj piersi, te łzy, na widok, których sam nieraz zapłakał, chociaż nie pojmował jeszcze wtedy ich przyczyny. Przyszły mu na myśl rozmaite jego dziecinne zabawki, których ta ścieszka była widownią, jak biegał ze swymi rówiennikami, oglądając się często poza siebie, ażeby spotkać uśmiech matki, lub usłyszeć słodki jéj głos. Zasłona ćmiąca jego pamięć coraz ustępowała; przypominał więc sobie daléj rozsądne jéj rady zmarnowane, zaklęcia jéj wzgardzone, przyrzeczenia zdeptane, i serce mu się rozdzierało.

Wszedł do kościołka, nabożeństwo wieczorne już się skończyło, i zebrani rozeszli się do domów, ale drzwi nie były jeszcze zamknięte. Stąpania jego odbiły się głucho o ściany świątyni, cichość tam panująca przestraszała go—spojrzał wokoło siebie, nic się nie zmieniło; kościołek tylko zdał mu się być mniejszym niż wprzódy. Obaczył na tem samem miejscu starożytny nagrobek, który będąc dzieckiem, podziwiał, małą ambonę, z któréj słyszał tyle zbawiennych nauk, o których zapomniał. Zbliżył się ku staréj owéj ławce, w któréj siadywał był zwykle ze swą matką w latach swéj niewinności, ławka ta obudziła w nim nowe myśli i wspomnienia. Czy też, rzekł w sobie, biedna moja matka uczęszcza jeszcze do kościoła, czy wiek i cierpienia nie złamały do tyla jéj ciała, że musi pozostawać w domu—nie śmiał zapuszczać się myślą daléj, zimny dreszcz przebiegł mu po ciele, i wyszedł z kościoła drżący i przerażony.

Przy wyjściu spotkał dziadka kościelnego, którego znał dobrze, nieraz bowiem widział go grób kopiącego na cmentarzu. Cóż on mu powie?... Starzec spojrzał na niego i rzekł: niech będzie Chrystus pochwalony, i wszedł pomału do kościoła—widocznie go nie poznał.

Podróżny zstąpił z pagórka i przeszedł wieś i kolonię. Wieczór był ciepły i mieszkańcy siedzieli przed domami, lub przechadzali się po małych swoich ogródkach, używając wytchnienia i spoczynku po znojnéj pracy. Niejedno spojrzenie padło na niego, i on też rzucał wzrokiem na obie strony, chcąc się przekonać, czy go poznają, i jak go powitają?.. Wszędzie prawie znajdował obce mu oblicza, albo gdy spostrzegł znajomą twarz dawnego towarzysza, którego pozostawił niedorostkiem, to go dziś widział otoczonego gromadą dziatwy— w starcach słabych i niedołężnych, poznawał ludzi, których pełnym siły przed 15 laty zostawił. Ale wszyscy go zapomnieli, i przeszedł wieś całą niepoznany, niepowitany.

Ostatni promień zachodzącego słońca ozłocił ziemię, rzucając promienie na pożęte zboża, kiedy podróżny przybył przed dom, w którym się urodził i wychował, przed dom, który tak gorąco pragnął obaczyć, o którym marzył w ciągu długich i bolesnych lat swego wygnania. Niskie sztachetki otaczały ogródek; spojrzał weń i znalazł, że był lepiéj uprawiony i staranniéj utrzymany jak dawniéj; ale pozostały w nim dotąd stare drzewa, pod cieniem

których spoczywał tyle razy, zmęczony bieganiem po słońcu, i zasypiał słodkim snem niewinności.

Posłyszał głosy jakieś z wnętrza domu, nadstawił ucha, ale brzmienie ich było obcem dla niego—głosy te były zbyt radosne, a pojmował to dobrze, iż biedna jego matka nie mogłaby się tak weselić. Drzwi domu się rozwarły i gromadka dzieci wybiegła z nich ze śmiechem. Wkrótce ojciec z najmłodszem dziecięciem na ręku pokazał się u wejścia, wtedy starsze go otoczyły, klaskając w ręce i ciągnąc go za poły kapoty, ażeby z niemi zabawę podzielił. Podróżny przypomniał sobie, jak w tem miejscu ukrywał się nieraz przed srogim wzrokiem swego ojca, jak nieraz matka w obronie jego poniosła ciężkie razy, i łzy rzęsiste oblały mu twarz zżółkłą i wynędzniałą. Odchodząc, łkał, a w przystępie wściekłości wzniósł pięście i zęby zacisnął.

Takim tedy był ów powrot, o którym myśl podtrzymywała go przez lat tyle, i dla którego tyle poniósł ofiar. Ani jednego życzliwego pozdrowienia, ani jednego przebaczającego spojrzenia, ani jednéj łzy współczucia, ani jednego dachu, pod którymby mógł spocząć, ani jednéj ręki, któraby go wsparła, i to wpośród rodzinnéj swéj wioski. Coż w porównaniu z goryczą, jakiéj tu doznał, były dla niego więzienia, lub oddalenie wygnania!

Będąc w robotach, marzył o wiosce swojéj rodzinnéj, i wyobrażał ją sobie zawsze taką, jaką ją zostawił, nie zaś taką, jaką ujrzał za powrotem—smutna rzeczywistość zmroziła mu serce i pognębiła go. Nie miał odwagi zapytać się o nic, ani nawet udać się do jedynej osoby, na którą mógł liczyć, że go przyjmie z dobrocią i współczuciem. Uszedłszy kilka kroków, zboczył z drogi, jak zbrodzień, co się lęka widoku ludzi, i skierował się ku znanéj sobie dobrze dolinie; tam stanąwszy, nieprzytomny prawie, zakrywszy twarz dłońmi, rzucił się na murawę obok jakiegoś człowieka, którego nie dostrzegł. Na szmer, jaki tamten uczynił, podróżny nasz podniósł głowę i obaczył siedzącego przed sobą starca, którego ciało złamały więcéj dolegliwości i złe życie, aniżeli wiek późny. Ubiór wskazywał w nim żebraka, wpatrywał on się bystro w twarz podróżnego, a chociaż oczy jego straciły dawniejszy swój blask, zdawały się jednakowoż błyszczeć jakimś złowrogim wyrazem na jéj widok. Wygnaniec nasz powstał zwolna, i z niemniejszą przypatrywał się starcowi bacznością; tak obadwa patrzyli na siebie długo w milczeniu.

Starzec był przerażającéj bladości, drżał i chwiał się. Nieznajomy postąpił ku niemu, on cofnął się o kilka kroków.

— Pozwól mi głos swój usłyszeć, rzekł więzień wzruszonym głosem.

— Oddal się! zawołał starzec ze strasznem przekleństwem. Więzień nie bacząc na to, zbliżył się znowu.—Oddal się, zawołał starzec powtórnie z wściekłością, i podniósłszy kij, uderzył nim podróżnego.

— Mój ojciec! wyjąkał więzień przez zęby, w uniesieniu rzucił się naprzód, i pochwycił starca za gardło, ale opamiętał się natychmiast; wszakże był to jego ojciec, więc puścił go wolno.

A wtem starzec krzyknął tak przeraźliwie, iż krzyk ten rozległ się daleko w polach, jak wycie dzikiego zwierza. Twarz mu poczerniała, upadł, i krew rzuciła mu się nosem i ustami—pękła w nim arterya (żyła), i skonał, zanim zdołał go podnieść.

Obok grobu biednéj Edwardowéj wzniosła się niedawno świeża mogiła, mieszcząca w sobie zwłoki owego podróżnego, który przez lat trzy po opowiedzianych wypadkach pozostawał w moich usługach, prowadził się przez cały ten czas przykładnie, ale ciągle smutny, dając dowody prawdziwego żalu i skruchy. Dopóki żył, ja sam jedynie wiedziałem, kim był i zkąd przybywał, ze śmiercią jego dopiero się dowiedziano, iż to był Jan, syn Edwarda, uwolniony więzień.

O Kościołku w Kusarach i Bractwie przy nim zostającem.

(Z listu wojskowego z Kaukazu z dnia 10 lutego 1857 roku).

—

Zwiedzając południowy Dagestan, prowincyą w Zakaukazie, znajdujemy tam w ustroniu od główniej drogi osadę wojskową, uroczysko *Kusary*, nad rzeką Kusar-Czaj, wypływającą od zachodu z podnóża wspaniałej a uroczej góry Szachdach,

Która, jakby straszna potęga
Stopami ziemi, nieba głową sięga.

Rzeczka ta wpada kilka mil od osady do morza Kaspijskiego. Kiedy mnie tam przeznaczono

na służbę, cieszyłem się, że mi los zdarzył dla długiego przebywania taką piękną miejscowość, umajoną dokoła pięknemi drzewy, osobliwie od północy i południa ustrojoną pietrzącemi się lasami... W takiej okolicy, osobliwie wiosną, dusza rwie się do szlachetnych uniesień; za każdem wejrzeniem na przyrodę unosi się myślą do Stwórcy! Brakło nam tylko dla licznej gromady katolików, pasterza. Poprzednio dla corocznej spowiedzi przybywał tu o mil 30, ksiądz Pruszkowski z Szury, lecz w r. 1845 nie mieliśmy zupełnie kapłana. Rok 1846 był szczęśliwszy, bo dla naszej brygady jako kapelan wojskowy przybył Aleksander Grodzki, ksiądz jeszcze młody, pełen zdrowia i sił. Marzyliśmy wiele o budowie kościoła, o wpływie moralnym i o spojeniu dusz wiernych.

Ale nic się odrazu nie robi, tem bardziej, jeśli brak potężnej woli. Jednak w ciągu tygodnia, na równinie od strony morza, stanął kościołek. Rozbito wielki namiot, urządzono w nim ołtarz, przed którym wiele ludzkich łez wsiąkło w darninę, służącą za posadzkę świątyni. Modlono się szczerem sercem, a pieśni: *Boże w dobroci*, *Do Ciebie Panie*, *Matko Niebieskiego Pana*, *U drzwi Twoich* i inne, wznosiły się z przepełnionéj piersi do Boga. Te pieśni na swoich skrzydłach niosły do Pana zastępów takie i tyle prośb, że ich usta wypowiedzieć nie mogły, bo skrucha, żal, boleść i pokora połączyły się w jeden hymn uczucia. Ale z największem wzniesieniem ducha, z największą łącznością serc głosiliśmy hymn: *Święty Boże*, *Święty mocny*, *Święty a nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami*! Hymn ten świętéj prostoty a wielkiéj modlitwy, jednoczył nas z grobami ojców naszych i z pieśniami waszemi. Po błogosławieństwie wyszliśmy jakby nam spadł z ramion ogrom ciężaru, tęskliwa spokojność okryła twarze nasze; błogosławiliśmy kapłanowi, że nas co dopiero minionej chwili połączył z Bogiem, że cząstkę nieba przychylił nam na ziemię!...

Wkrótce ruszyliśmy na wyprawę; po powrocie zastaliśmy już gotową kaplicę, przyległą do ładnego, przerzniętego bystrym strumykiem, spacerowego ogrodu. Przerobioną ona została z domu, przeznaczonego poprzednio na oranżeryą i podarowaną dla użytku katolików przez pułkownika Placbek-Kokuma.

Na kaplicy L. Kociejowski wybudował swoim kosztem kopułkę i wystawił krzyż złocony; kto inny zajął się wyuczeniem żołnierstwa śpiewu kościelnego i wkrótce nastąpiło poświęcenie miejsca. Obrzęd odbywał się przy chórze muzyki pułkowej i w przytomności władz starszych, otoczonych ludem różnego wyznania. Ze składek kupiono obraz olejny, wyobrażający Wniebowzięcie N. Maryi Panny i umieszczono go w ołtarzu; sprowadzono dzwony i uposażono zakrystyą. Brakło tylko stałego funduszu na światło, na opranie kościelnej bielizny, na utrzymanie ciągłej służby przy kaplicy i brakło środka, w skutek którego utrzymywałoby się ciągłe w czasie dni niedzielnych i świątecznych nabożeństwo, nawet w razach wyjazdu księdza do różnych miejscowości dalekich, w celu spowiedzi i niesienia pomocy religijnéj. Myślał nad tém szczególniej prosty żołnierz Mikołajczak, a Bóg widząc jego chęć szczerą, natchnął go postanowieniem urządzenia bractwa, jedynego dotąd na całym przestworze ziemi Kaukazkiéj.

Umiejąc sam pisać, ułożył odpowiednią do okoliczności ustawę, która uzyskała zatwierdzenie. Zbieranie członków szło mu z początku z oporem; wystawiał się na śmiechy tych, co uważali bractwo na Kaukazie za rzecz niemożebną. Zebrał jednak prawie gwałtem na początek blisko mu znajomych ośmiu mężczyzn i cztery kobiety; wszyscy oni przystąpili do bractwa jedynie, aby zadosyć uczynić prośbie i naleganiom Mikołajczaka. Na pierwszém posiedzeniu wybrano na członków starszych, tych, których podał; jednym z nich on sam został wybranym. Miał wiele kłopotów i przeszkód, lecz nie upadał na duchu, bo Bóg go wspierał. Po pierwszym kwartale liczba członków rosła coraz więcéj, tak, że za parę lat do bractwa zapisywały się i osoby z pobliższych forteczek.

Oficerowie katoliccy i ich rodziny, chcąc także przyjść w pomoc towarzystwu, umieścili swe imiona w liczbie członków. Rzecz się utrwalała, potrzeby coraz łatwiéj mogły być załatwiane, bo skarbona rosła. Mikołajczak cieszył się szczęściem niebiańskiem, patrząc na owoc swych starań, bogosławionych ręką Bożą — i zaiste to była najwyższa zasługa, jaką uczynił rodakom swoim na Kaukazie; bo oprócz skupienia w jednę gromadę wiernych, za pomocą brackich funduszów sprowadzono do dwóchset książek do nabożeństwa, dla śpiewu i do rozmyślań duchownych w domu. Sprowadzono do paruset obrazów i obrazków z Wilna, kilka z nich za-

wieszono w kaplicy, inne rozeszły się po domach oficerów, po chatach żonatych żołnierzy, nareszcie po książkach do nabożeństwa. Księgarz Zawadzki przysłał w podarunku kilka książek dla biednych żołnierzy, a pan Wilczyński wydawca rycin do Albumu Wileńskiego, ofiarował też sporo obrazków większéj wartości dla niemających funduszów na kupno. Kiedy Mikołajczak z rozkazu władzy był wysłany na służbę do innéj fortecy i już na zawsze żegnał Kusary, bractwo posiadając zapasy rozchodowe na cały rok, liczyło jeszcze w skarbcu swym kilkadziesiąt rubli. Jeżeliby rzeczy szły daléj tym trybem, możnaby oczekiwać dla bractwa wielkiéj moralnéj korzyści—ale jednemu Bogu wiadomo, jak tam rozporządzi tą sprawą.

Kaplica wspomniona okazała się niedługotrwałą i zaszczupłą dla gromady wiernych; zaczął więc ks. Grodzki zbierać składkę i za jednym objazdem zebrał kilka set rubli. Summa ta w 1853 roku urosła do dwóch tysięcy rubli. Ziomek Telesfor Szpadkowski zrobił plan budowli, zatwierdzony przez władzę krajową. Przystąpiono do założenia fundametów i przez wybory złożono Komissyą dla dozoru budowy. Toczona już wówczas wojna z przyległą Turcyą i inne okoliczności kazały odłożyć zaczętą pracę i złożyć do składów zakupioną na dach blachę żelazną i inne materyały—wkrótce jednak powinna się prowadzić robota, tém bardziej, że tyle już nagromadzono do niej środków.

Wypada mi tu jeszcze jako dodatek opowiedzieć rzecz szczególną, jakby cud jaki, który się stał przed trzema laty w Kusarach, a mający związek z historyą tamtejszego bractwa. Okna od kaplicy i od zakrystyi otwierały się często w dnie pogodne dla świeżego powietrza; zauważył to złodziej i wlazłszy do wnętrza, odbił zamek od skrzyni, w któréj się mieściła skarbona z pieniędzmi brackiemi i zabrał takowe. Gdy się to działo w kaplicy, podskarbi cechowy, szeregowy żołnierz Karol Łaskiewicz, po pracy i obiedzie udał się na spoczynek i miał senne widzenie: że niby będąc z obowiązku w kaplicy, zastał zamki popsute i wykradzione pieniądze. Zmartwiony, że w czasie jego dozoru skarbca zdarzył się taki wypadek, wezwał Boga na pomoc i wyszedł szukać rady u ludzi, jakim sposobem wyszukać złoczyńcę. Przed drzwiami kaplicy niby spotkał nieznajomego człowieka, który mu ukazał dom bliski, i powiedział, że w nim mieszka złodziéj, że tak a tak wygląda i tak a tak się nazywa.

Po tym śnie obudził się zaraz Podskarbi, miotany niespokojnością, którą odpychał od siebie, wierząc, że sen mara, a Bóg wiara. Jednakże nie mogąc przemódz niespokojności, poszedł do kaplicy i przekonał się, że sen go na ten raz nie zawiódł, że kradzież dokonano. Udał się więc do owego widzianego we śnie domu i znalazłszy tam opisanego we śnie człowieka, stanowczym głosem powiedział: Oddaj zaraz pieniądze, któreś przed chwilą ukradł ze skarbony brackiéj, bo srogą karę otrzymasz. Złodziej niespodziewający się nigdy, aby go kto widział, zdumiał się, ale strwożył i zbladł. Gdy Podskarbi powtórzył mu swe naleganie z groźbą, złoczyńca zaraz się przyznał i oddał pieniądze. Poczciwych zasad i czynów podskarbi Łaskiewicz mieszka jeszcze dotąd w Kusarach.

Tyle o kościołku w Kusarach i o bractwie przy nim zostającém, które całą duszą kocham i życzę mu dobrego losu i błogosławieństwa Bożego.

Zdania i przypowieści.

1. Bądź tylko dzieckiem Bożem, a nie będziesz sierotą na ziemi. (*X. Antoniewicz*).
2. Będziesz się Bogu rachował z każdego dnia, któryś stracił, nic nie uczyniwszy dobrego. (*Staszic*).
3. Boga się bój, a na postrachy ludzkie trwożyć się nie będziesz. (*Matuszewicz*).
4. W szczęściu każdy dopomoże, ale w złym razie tylko Ty sam Boże. (tak nucił hetman *Żółkiewski* we wszystkich przygodach).
5. Gdy największa trwoga, tuż jest pomoc Boga.
6. Gdzie Chrystusowa dziedzina, tam murem i pajęczyna. (*Skarga*).

W druk. J. Ungra. Wolno drukować. Warszawa dnia 7 (19) kwietnia 1858 r. Starszy cenzor, *F. Sobieszczański*.